

Mężczyźni też mają uczucia!

z Davidem Safierem
rozmawia Inez Okulska

David Safier,
fot.: Hergen Schimpf
[s. 94]

fot.: Inez Okulska
[s. 99]



Rzadko się chyba zdarza, żeby scenarzysta przeniósł się do branży literackiej i napisał dobrą książkę. Powiedział Pan w jednym z wywiadów, że powodem jest między innymi ekonomia scenariusza, że w powieści ma się więcej swobody.

Tak, pod wieloma względami książka daje wbrew pozorom o wiele więcej przestrzeni, której nie ma scenariusz. Po pierwsze, to z pewnością kwestia kosztów – kiedy piszę scenę: restauracja, setka ludzi, wówczas ktoś z telewizji przychodzi i mówi: setka statystów, każdego muszę opłacić, hm..., czy nie wystarczy dziesięciu? Przy pisaniu książki jest to całkowicie obojętne. To znaczy, czy opiszę mrowisko, latające mrówki et cetera, koszty druku pozostają takie same, jak w przypadku sceny picia kawy w kawiarni. To po pierwsze. Po drugie, w przypadku pisania scenariuszy odczuwa się specyficzny nacisk – z powodu ogromnych kosztów, odpowiedzialności, tempa i ewentualnych problemów, które mogą napotkać podczas pracy z całym teamem serialu. Mój scenariusz nie istnieje przecież bez reżysera, aktorów, montażyстів. Jeśli napiszę go odpowiednio, zostanie również odpowiednio przez nich zinterpretowany, albo i nie. Nie każdy z napisanych przeze mnie odcinków, albo raczej tylko jeden na dziesięć, jest w istocie sfilmowany. Tych wszystkich strat nie ponoszę jako autor książki i to jest ta właśnie ekonomia literatury.

Owszem. Ale ta ekonomia nie odnosi się tylko dosłownie do względów finansowych. Efekt overhead-voice [głos z offu], który stosuje Pan w swoich serialach, wydaje mi się przejawem tęsknoty za głosem narratora, głosem wnętrza. A taką przestrzeń oferuje książka.

Dopiero podczas pisania stwierdziłem, że istotnie głosowi narratora mogę poświęcić więcej miejsca. Ale musiałem się najpierw z tym oswoić: powiedziałem sobie – chłopie, możesz napisać o uczuciach cały akapit!

Nie za pomocą jednego spojrzenia, jednej linijki – tak oszczędnie, jak dotychczas. Mogę z pewnością o wiele bardziej zagłębić się w postać, zachowując przy tym sporą dowolność po stronie odbiorcy. Kiedy piszę scenariusz, ma on z góry określoną formę, którą wszyscy jednakowo interpretujemy. Ale jeśli piszę książkę i mam pewien pomysł, wchodzi w to czytelnik i przynosi swój bagaż doświadczeń, swoje pomysły, przez co forma staje się o wiele bardziej otwarta. I to jest urocze, że literatura wywołuje o wiele więcej odmiennych od siebie reakcji niż odcinek serialu.

Struktura Pana powieści pozostaje mimo to zupełnie filmowa. Sceny są plastyczne, bardzo dynamiczne.

To wynika z faktu, że oczywiście taki warsztat szkoliłem:

uczyłem się od Amerykanów, jak napisać dobry scenariusz telewizyjny, i z pewnością dużo z tego przeniósłem również do powieści.

Ale po trosze wynika to również z mojego charakteru: szybko się nudzę. Również podczas czytania. Jeśli w książce, na trzech stronach opisywany jest strój postaci i zapach pomieszczenia, to się nudzę, muszę wiedzieć, jak dalej rozwinie się akcja. Przy czym akcja nie oznacza koniecznie, że ktoś biegnie na złamanie karku, ale że zmienia się coś w sferze emocji. To też jest akcja. Dlatego, pani to z pewnością wie już doskonale, nie stosuję długich opisów; zdziwiłem się bardzo, często słysząc po lekturze moich powieści, że mam w głowie mnóstwo obrazów. Tak – odpowiadam – ale to twoja zasługa [śmiech], ja przecież wcale ich nie opisałem. Raczej pozostawiłem możliwość dowolnego konkretyzowania. Na przykład w „Jesus liebt mich” wspominam o deptaku +

w Malenie – każdy człowiek widział już w swoim życiu jakiś deptak w małym miasteczku. To znaczy każdy ma swój obraz takiego deptaka i nie potrzebuję pisać przez kolejne dwa akapity, jak on wygląda, jakie są sklepy, budynki, drzewa et cetera.

Zatem Pańskie opisy mają oddawać nie świat zewnętrzny, ale emocje, uczucia, myśli.

To prawda. Obdarowuję moich czytelników przeróżnymi emocjami. To są przecież powieści o rozwoju [Entwicklungsroman], właściwie każda historia prezentuje rozwój postaci; jeśli nie, po co w ogóle mielibyśmy je czytać. W książce ma się o wiele większe pole do popisu, mogę wejść głęboko w umysł bohatera i to opisać. I to jest coś, co sprawia mi niesamowitą przyjemność.

Inny aspekt, który jest dla Pana powieści szczególnie istotny – mam na myśli „Mrówkę w wielkim mieście” – to rola mediów. Ciągłe się pojawiają, na różnych płaszczyznach, na przykład ekran na brzuchu Buddy jako element wiążący z ziemską rzeczywistością.

W przypadku „Mrówki...” było to szczególnie silne, ponieważ wówczas bardzo dużo pracowałem dla telewizji i osiągnąłem spory sukces, otrzymując Nagrodę Grammy. Nie należę do ludzi, którzy na tego typu „przedstawieniach” biegają w kółko, ciesząc się: jak tu super, jak kolorowo! Podchodzę do tego raczej krytycznie. Ale mimo wszystko byłem pod wrażeniem, o wiele silniejszym niż dzisiaj. To po pierwsze. Po drugie, pewne rozwiązania okazują się wygodne podczas pisania, na przykład pomysł z ekranem u Buddy. Piszę pewną scenę, bohaterka patrzy w głąb. To mógł być równie dobrze projektor... chociaż, hm... projektor to też medium [śmiech], no, powiedzmy, jakaś dziura.

Ten ekran, projektor – pierwsze skojarzenia pokazują, jak bardzo jest Pan w mediach zanurzony.

Absolutnie. Dla mnie to przede wszystkim także przestrzeń referencji. Jeśli wtrącam jakąś

aluzję, to najczęściej dotyczy ona postaci, miejsca, wydarzenia związanych z telewizją czy mediami. Chociaż w najnowszej powieści pojawiają się przede wszystkim odniesienia literackie.

Literatura to także medium. Co jednak ciekawe, w „Mrówce...” nie pojawia się ani razu Internet, dzisiaj najważniejsze spośród mediów.

To prawda. W „Jesus liebt mich” pojawia się nawet YouTube, ale w „Mrówce...” nie jest nawet wspomniany. To wynika z faktu, że Kim pracuje w branży filmowej. A dla branży filmowej Internet jest wprawdzie zagrożeniem, ale nie wzorem interesu. Wszyscy o nim myślą, ale nie do końca poważnie.

To znaczy?

Branża internetowa nie wymaga ani takich nakładów kosztów jak telewizyjna, ani nie przynosi tak wysokich zysków.

W przypadku opinii o Kim posłużył się Pan fikcyjnymi cytatami z kobiecych czasopism, a nie na przykład z plotkarskich stron internetowych.

Nie z Internetu, lecz z czasopism, dokładnie. To ciekawe pytanie, ale w istocie, zdaje mi się, że to kwestia pokolenia. Za 30 lat napisałbym pewnie o jakimś blogu. Ale obecnie nie ma żadnego bloga ani żadnej witryny, które miałyby tak silną pozycję jak na przykład „Bild” [niemiecki odpowiednik „Faktu” – przyp. tłum.]. To ciekawe, że w drugiej pozycji Internet się pojawia, i to od razu w ramach Web 2.0 – kanału YouTube. W trzeciej w ogóle nie, ale to wynika z jej lejtmotywu. Nie będzie ani słowa o telewizji i mediach [śmiech].

Wyzwała się Pan. Ale skoro jesteśmy jeszcze przy mediach – sądzę, że kobieta sama w sobie jest interesującym medium. Mam na myśli jej psychikę, logikę.

Kobieta sama w sobie jest interesującym medium [śmiech] – świetnie nadaje się na tytuł!

Ale wracając... jest wiele odpowiedzi. Po pierwsze, pracę w telewizji zacząłem od programów z bohaterami kobiecymi, ze względu na rentowność oddziaływania reklam je poprzedzających. Poświęciłem więc sporo czasu postaciom kobiecym i stwierdziłem wreszcie: całkiem nieźle mi to idzie. Ale nigdy się przy tym nie zastanawiałem, jak by w tej sytuacji pomyślała kobieta, i przypisywałem jej swoje emocje. Mężczyźni również mają uczucia, zaskakujące [śmiech], ale jednak. Być może nie mówimy o tym zbyt wiele, nie umiemy ich formułować. Po drugie – to nie był proces świadomy, ale teraz jako wytłumaczenie mogę dodać, że zauważyłem, iż faktycznie bardzo dużo miejsca poświęcam emocjom. Proszę sobie wyobrazić, że mężczyzna gadałby cały czas o uczuciach – każdy pomyślałby: ale mięczak. A jeszcze lży w oczach? Głupek. Punktem wyjścia są jednak mimo wszystko moje własne emocje, sam bym tak czy inaczej nie postąpił, ale mam identyczne odczucia, które, jak się okazuje, pasują idealnie i do kobiety.

No tak, powiedział Pan, że emocje są raczej właściwe kobiecie. Pewnie ten sposób, w jaki myśli i czuje Pana bohaterka jest stuprocentowo kobiecy! Ten chaos, nielogiczność kobieca...

Być może, ale ja się naprawdę nie zastanawiam, co by kobieta pomyślała czy powiedziała, być może ja po prostu sam jestem na kobiecy sposób chaotyczny [śmiech], nie mam pojęcia. Kim myśli dokładnie tak, jak ja bym pomyślał, znalazłszy się w takiej czy innej sytuacji. Żeby to lepiej zilustrować: moja żona leży na łóżku obok mnie i czyta po raz pierwszy maszynopis „Mrówki...”, tak na siedemdziesiątej stronie odwraca się do mnie i mówi: ale numer, to jesteś dokładnie ty w ciele kobiety! [śmiech] I niech to będzie dowód, że nie muszę się zastanawiać nad emocjami bohaterki. Albo jestem anormalnym mężczyzną, albo mężczyźni naprawdę wiele się od kobiet nie różnią. I przy tym zostanę.

Czy pisząc „Mrówkę..”, czytał Pan wiele na temat mrówek i życia w mrowisku?

Nie. Przeczytałem może kilka stron na ten temat. Ale ja przecież piszę w charakterze rozrywkowym, to nie ma być film dokumentalny. Otrzymałem jeden, ale bardzo długi list od pewnego biologa, który mi wyjaśnia, że pająki wcale nie gryzą et cetera i wylicza wszystkie niedorzeczności. I wtedy sobie pomyślałem: owszem, ale one również nie potrafią mówić! [śmiech] A więc na serio, ja to wszystko wiem. Ale mój świat przedstawiony tworzę tak jak mi się podoba. W przypadku „Jesusiebt mich” było oczywiście nieco inaczej, musiałem to i owo doczytać, żeby być w zgodzie z religią. Wówczas się przyłożyłem. Podobnie w przypadku mojej nowej powieści – musiałem bardzo dokładnie się przygotować do tematu.

I jeśli ktokolwiek przyjdzie i powie: to nieprawda, odpowiem: owszem, ale z punktu widzenia narracji tak było ciekawiej. Ważne jest, żeby nie wykraczać poza ogólne założenia prawdy, którymi dysponuje przeciętny człowiek.

Laik?

Tak. Najczęściej punktem wyjścia jest moja wiedza. Ile ja wiem o mrówkach, tyle będzie wiedziała większość czytelników, więcej raczej nie.

A więc mrówka jest tutaj wyłącznie rodzajem kostiumu dla postaci?

Tak. To nie jest film dokumentalny, nie ma takich aspiracji. Ważne, żeby było zgodne w warstwie emocjonalnej. To jest istota tej historii. Mój przyjaciel w jednym z wywiadów ujął to idealnie: Jeśli mnie pani pyta, czy Czerwony +

Kapturek jest historią prawdziwą, odpowiem, że nie. Jeśli mnie pani jednak zapyta, czy Czerwony Kapturek jest prawdziwą historią strachu przed samotnym chodzeniem po lesie, odpowiem twierdząco.

Ważne zatem są emocje i prawdziwość czy choćby prawdopodobieństwo w sferze uczuć. Wówczas historia może rozgrywać się równie dobrze w kosmosie.

Wisława Szymborska pisała w jednym ze swoich wierszy o Radości pisania. Przyjemności utrwalać i zemście śmiertelnej ręki. **To ironiczna odpowiedź na pytanie o wszechwładność pisarza wobec świata (przedstawionego). W kontekście Pana powieści, w której motywem przewodnim jest reinkarnacja, brzmi to intrygująco.**

Hm... Wszechwładzą pisarza nie zajmowałem się dotąd nigdy, ale na pewno obie moje powieści poruszają kwestię, co będzie potem, i w obu dochodzę do tego samego wniosku: nieważne, co będzie potem, ważne, żebyś teraz prowadził odpowiednio swoje życie. Odnosnie reinkarnacji i religii mogę spróbować odtworzyć psychologiczny proces pisarski, przy czym może to być fikcją. Dlaczego zająłem się tym tematem? Zacząłem od sounds funny [ang. brzmi zabawnie – przyp. tłum.] [śmiech].

To są mimo wszystko dość trudne tematy jak na sounds funny.

Owszem, ale zacząłem od sounds funny i potem musiałem ten pomysł odmienić przez wszystkie przypadki i doszedłem do pytania o „potem”. Ale powróćmy do psychologicznego tła. Kilka lat wstecz, nie bezpośrednio przed podjęciem się pisania, ale gdzieś między 25. a 35. rokiem życia, w mojej rodzinie wystąpiło wiele przypadków ciężkich chorób

i zgonów. I właściwie dzisiaj wszyscy już nie żyją: moi rodzice, siostra, ciotka, wujek, a więc z mojej biologicznej rodziny nikogo już nie mam. I zdaje mi się, że ma to związek z obraniem przeze mnie takiego tematu. Ale to nie był świadomy proces. Sounds funny. Po prostu? Ale musiało mnie to istotnie mocno od środka zajmować. Taka jest moja interpretacja.

Uważam, że właściwie największą zaletą tej książki jest umiejętne połączenie trudnego tematu z dowcipną narracją, która w ogólnym rozrachunku jednak nie ujmuje należnej mu powagi. Nie mogę zatem powiedzieć, że autor „robi sobie jaja, kpi”, ale że „jest ludzki”.

Szkoda, że nie mogę tak pisać w nieskończoność. Wydaje mi się, że zaletą tej książki jest raczej fakt, iż w przeciwieństwie do innych książek humorystycznych coś w nas pozostaje. Aczkolwiek to przede wszystkim zależy od samego czytelnika, jego nastawienia i znów – osobistego doświadczenia, z którym podchodzi do lektury. „Mrówkę” można przecież przeczytać jako powieść plażową (świetnie się nadaje), ale potem się okazuje, że jednak refleksja nas nie opuszcza tak szybko, bo porusza tak trudne tematy, jak śmierć i tym podobne. W drugiej powieści występuje siostra głównej bohaterki, która ma guza mózgu. Podczas odczytów publicznych zaobserwowałem, że ludzi to zajmuje. Ta książka dotarła do pewnej rodziny, gdzie także zmarła siostra. I ta rodzina nie potrafiła sobie z tym poradzić. Czytali więc sobie wzajemnie moją powieść przez trzy dni świąt Bożego Narodzenia, często się śmiali i w końcu zrozumieli, dlaczego na przykład ich siostra i córka nie chciała iść już więcej na chemioterapię, dlaczego to przed nimi ukrywała. Dlaczego postępowała tak, a nie inaczej. Spędzili trzy pełne humoru dni, mimo wszystko zajmując się tą trudną sprawą.

Zatem pierwszych 30 stron zarówno „Mrówki”, jak i „Jesus lubi mich” mogą wydać się typową powieścią kobiecą. Ale ostateczną stawką nie jest, czy zdobędę tego mężczyznę czy nie, ale to, kim jestem na końcu, czy kimś innym niż byłem na początku.

Wielokrotnie pytano mnie, o czym właściwie jest „Mrówka w wielkim mieście”. I nie potrafiłam jednoznacznie odpowiedzieć, to tak wielowarstwowa

powieść, że nie można jej skrótowo ująć. Ale może jednak Pan spróbuje – w jednym zdaniu – powiedzieć, o czym jest?

Ajajaj....

Może to być zdanie wielokrotnie złożone

[śmiech]

[po uchywie dwóch minut] No to spróbujmy: to zabawna książka o pewnej moderatorku telewizyjnej, która po śmierci odradza się jako mrówka i stwierdza, że w życiu, zarówno ludzkim, jak i mrówku, istnieją także inne sprawy niż kariera.

14 października 2009, Frankfurt nad Menem

